

Dekameron 2020: Laureaci (18) "Moja"

„Moja”

Natalia Soszyńska

Żyliśmy w miejscu we wsi, na które wszyscy mówili, że to koniec drogi. Dziwnie, bo wzdłuż naszego domu nie biegła żadna droga, ani też żadna z dróg do nas nie prowadziła, tym bardziej my nie wyznaczyliśmy nigdy choćby ścieżki, która zaprowadziłaby do nas kogokolwiek. No ale kiedy komuś zdarzyło się o nas zapytać, to każdy ze wsi mówił: żyją na końcu drogi. I każdy wiedział, o który dom chodzi, mimo że ostatni pod samym lasem i widoczny tylko z wieżyczki ratusza w mglisty dzień, kiedy zapalałem wielką lampę na stryszku. Wtedy nas, z końca drogi, każdy mógł zobaczyć. W innym wypadku nie było nas widać wcale.

Ludzie przychodzili do nas po różne sprawy i szeptali swoje życzenia. Jednym Matka Boska Zielna nie chciała obrodzić, inni chorowali na coś, z czym nie radzili sobie lekarze w mieście, ktoś inny przyszedł, bo mu krowy najadły się kwiatów kaczeńca i brzuchy im spuchły jak bębny. Przychodzili z daleka i bliska, chorzy i zupełnie zdrowi, z problemami na całe życie, a czasem na chwilę. Pamiętam na przykład jedną babę, przyjechała do nas z daleka, była gruba, wielka i czerwona na twarzy jakby jej barszcz jeszcze bulgotał pod policzkami. Zasapana i ubłocona jak wielka maciora runęła w sieni na wór z suszoną kukurydzą. Moja dostała białej gorączki, jak to zobaczyła, bo na Kaszubach w czystości chowana, na naszej podłodze można było białym płótnem przejechać, a zostałyby białe, tak sprzątała. Ale rok był kiepski, zostało już niewiele zapasów, to przyjęliśmy a Moja wyszła nad jezioro. Miała tak czasami, wychodziła i stała nieruchomo nad jeziorem, aż czasem mgła na nią zachodziła. Lubilem tak na nią patrzeć i raczej nie podchodziłem, bo czasem jej ramiona drżały jak na zimnie, choć schodził z ziemi upał po całym dniu.

W każdym razie baba chciała zamówić urok. Zaraz żeśmy zawołali dziadka Hipolita, bo on podejście miał do krów i do kobiet. Dzięki temu zawsze w domu były mleko i święty spokój. Uroku nikt z nas nie lubił rzucać, dziadek szczególnie – mówił, że po rzuceniu klątwy czy uroku, dłonie go tak bołą, jakby własnymi rękoma skręcał kark temu, na kogo je zesłał i tak go dziwnie w palcach strzyka.

Baba wyłożyła, że chce urok zamówić na szwagierkę, bo od kiedy ta się w domu pojawiła, zaczęło w bimbrze procentów ubywać. Cała jej rodzina znana była w okolicy z bimbru na jeżynach. Nic tak ich honoru i poszanowania nie budowało jak ten bimber.

- Od kiedy jest ta szlagwa, to swojaczek nam nie procentuje. Mocy nie ma i jakbyś pan, za przeproszeniem, wodę po pierogach pił. Taki wstyd! Owoce mamy dobre, kadź do fermentacji ta sama od lat, kocioł, w którym owoce z ziołami destylują nad ogniem też ten sam od lat, tylko szwagierka w domu nowa. Pamiętam, że na wiosnę dzikie ptactwo jadła, żerka jest jak świnia, mówiłam, nieszczęście na dom sprowadzisz, nie je się dzikiego ptactwa wiosną, a ta swoje, mle i mle. Wszystkie Domaziaki płaczą, z głowami w dół chodzą teraz, taki wstyd. A zawsze mielim podniesione, jak żurawie na polu. Pomóż człowieku człowiekowi, rzuć urok, a wynagrodzę po katolicku, uczciwie.

Dziadek powagę sytuacji docenił, bo sam bimber z renklod pędził a domaziakową gorzałkę też kiedyś pił, zaprosił babę do pokoju, w którym zazwyczaj uzdrawiał zwierzęta. Trwało to trochę, Moja zdążyła ze stodoły wrócić i sień wymyć do czysta wodą z jeziora.

Bimber z domaziakowych jeżyn popłynął znowu, aż wieś na całą Polskę rozślawił. Wszyscy

mieszkańcy wioski zaczęli bimber pędzić, a jak wiadomo, towar musi mieć jakość, to wszyscy zaczęli też tę jeżynówkę pić, żeby sprawdzić, przetestować, żeby wstydu nie było. W trzy lata rozpiła się cała wieś, stary Domaziak z żalości, że tak mu wyciekł przez palce monopol na jeżynówkę, powiesił się na wielkiej topoli przy drodze. Dostał odświętne buty i miejsce na cmentarzu, przy kapliczce kościelnej, a mieszkańcy, żeby nie zaprzepaścić tej wielkiej szansy na honorowe miejsce na mapie, złożyli podanie do sołtysa, żeby wieś na Jeżynówkę przemianował. Sołtys się zgodził, dokumenty przygotował, ale że też wielkim miłośnikiem jeżynówki był od lat, błąd w nazwie zrobił i tak dzisiaj Jeżówka, między Warszawą a Skierniewicami żyje sobie swoim życiem z błędem.

Dziadek lubi tę historię co jakiś czas przypomnieć, szczególnie kiedy siedzimy razem przy Wigilii i Moja nie chce mu dać trochę krupniku na gorąco.

- Daj mi krupniku, bo jak nie dasz, to pójdę po jeżynówkę do piwnicy i zobaczymy, czy nasza topola wytrzyma te twoje odmowy.

I Moja wtedy zawsze zrywa się od stołu i idzie zagrzać spirytusu z miodem i goździkami na pokrzepienie dziadka.

Tak jak mówiłem, żyjemy na końcu drogi i co jakiś czas przychodzą do nas ludzie, żeby coś załatwić. My nie wychodzimy, bo wszystko, czego potrzebujemy, mamy na miejscu. Wychodzimy tak rzadko, że czasami myślę, że nasz dom zupełnie nie idzie z czasem, który go otacza, razem z obejściem, ogrodem i lasem. Jakoś ogłuszeni jesteśmy w głębinach Karsiańskiego, jak w worku z kamieniami na samym dnie i co jakiś czas dociera do nas błysk z góry. Rytm życia wyznaczają nam dwa rozłożyste kasztanowce i ludzie, którzy do nas przyjeżdżają – zawsze w listopadzie i grudniu. Później już bardzo rzadko. Te dwa kasztanowce są jak strażnicy granic, kiedy przekwitają, u nas zaczyna się sezon, kiedy opadną ostatnie liście i u nas ruch zamiera. Pod jednym jest rożen, z lodami, Warką z kija i hamburgerem z surówką z kapusty kiszanej. Pod drugim sklep spożywczy i ogródek piwny, ale raczej winny. Póki co, rożen częściej jest zamknięty niż otwarty, bo nie ma wielu turystów z Niemiec.

Za to pod sklepem w sezonie codziennie łązi Szczupak, którym straszą dzieciaki. Nosi swój kapelusik „żółtw” z taką godnością, jakby królewską czapkę miał na głowie. Mówią na niego Szczupak, bo za wino potrafi z mostu do Brdy wskoczyć na szczupaka, a Brda w tym miejscu płytka, ledwo ponad meter, tak mówią. Szczupak też zaczyna żyć, kiedy zjawiają się turyści – wróży za dwa złote czy będzie pogoda na grzyby czy nie będzie. Ze względu na to, że zawsze jest, dwa złote uczciwie wędruje do kieszeni. Wiemy tu wszystko o każdym, kto żyje i kiedyś żył. Przez to, że potrafimy urok rzucić i zwierzęta uleczyć, ludzie nam znoszą kwiatów, zapalają świece w kościele w naszej intencji. Żyje nam się dobrze na końcu drogi. Moja, tak jak mówiłem, lubi czasem wyjść nad jezioro i tak tylko popatrzeć. Nie ma na świecie, a już na pewno w Swornychgaciach piękniejszej i kształtniejszej niż ona. Wszystko ma takie, że akuratne do ręki. Kiedy mówię o niej, o Mojej, to rośnie mi kamień w przełyku i oczy aż pieką. Toteż częściej myślę niż mówię.

Ale czasami przychodzą dni takie jak tamten wtedy, wtedy jest śmiechu dużo, choć nie dla wszystkich. Był już październik, z lasu wracała córka starych Żółtkowskich, z łubianką pełną prawusów i czerwonych łebków. Z okna widziałem, wielkie jak krowie placki były. Zdziwiło mnie, że przez nasz płot przeszła i koło studni przebiegła. Pewnie spieszo było jej do domu, bo mrok zapadał, a ubrana była lekko, zupełnie nie jak do lasu. I kiedy już weszła na łąkę, zatrzymał się koło niej samochód na obcych blachach.

- Panienko! Panienska sprzedaje te grzyby? Bo ja chętnie bym kupiła.

Młoda Żółtkowska przycisnęła łubiankę do siebie i krzyknęła, że nie, wraca do domu, zrobić kolację,

grzybów nikomu obcemu sprzedawać w polu jak pierwsza lepsza nie będzie.

- A to może w tym domu dostaniemy jakieś grzyby? Widziałam z daleka, że gdzieś na górze się światło pali, to leśniczówka?

A młoda Żółtkowska pobladła a potem jak kurka się zrobiła żółta, ruszyła biegiem do domu i tylko usłyszałem krzyk:

- Pani tam za żadne skarby nie wchodzi! Tam się cała rodzina utopiła zeszłego lata, stary Hipolit i jego syn z żoną, dom stoi pusty od tego czasu.

I zniknęła. Samochód też zniknął. A ja pomyślałem sobie, czy to nie jest tak, że rzeczywiście my wszyscy, Swornegacie i jeziora, żyjemy tylko tak długo, jak trwa u nas sezon, jak ktoś coś od nas chce – urok, zioła a może grzybów. Poza sezonem nie istniejemy na żadnej mapie, nawet Polski. Może to nasz los i przeznaczenie, tak rosnąć jak lebioda i nie istnieć nawet dla kogoś, kto lubi zapach lebiody na polu.